

Włodzimierz SKOCZNY

## SPOTKANIA OBI WIDZIANE „OD KUCHNI”

Moje pierwsze spotkania z ks. Hellerem i ks. Życińskim, dwoma niekwestionowanymi filarami OBI, nastąpiły pod koniec lat 70-tych, gdy jako kleryk studiowałem w Krakowie filozofię i teologię. Nie funkcjonowała jeszcze wtedy obecna nazwa OBI, a afisze informujące o wykładach podpisowano zwrotem: Centrum Badań Interdyscyplinarnych. Owa ładnie brzmiąca nazwa stanowiła etykietę dla zupełnie nieformalnej instytucji. Bez lokalu, środków finansowych, zatwierdzeń i statutów, Centrum stanowiło wyraźny przykład prymatu ducha nad materią. Działalność skupiała się na comiesięcznych spotkaniach, którym schronienia udzielał ówczesny metropolita krakowski kardynał Karol Wojtyła. Nie przypominam sobie, abym kiedyś spotkał księdza Kardynała na wykładzie, ale już sam fakt, że można było zasiąść w słynnej sali na pierwszym piętrze, znaleźć się pod czujnym wzrokiem spoglądających z obrazów hierarchów Kościoła krakowskiego i przeżyć tę jedyną w swoim rodzaju jedność świata nauk przyrodniczych i teologii, wydawał się powrotem do najszlachetniejszego mecenatu Kościoła.

Wkrótce została mi powierzona działalność określana w wojsku mianem logistycznej i tak miało już pozostać na długie lata. Spojrzenie „od kuchni” na spotkania OBI było równie ekscytujące jak same wykłady, choć z zupełnie innych powodów. Najważniejszą osobą w arcybiskupim pałacu, którą nie dało się pominąć była pani Marysia. Pełniła ona rolę woźnej, sprzątaczkii i ..ostatecznej wyroczni kto może wejść przez bramę i kiedy. Ta cudowna kobieta, pełna góralskiego temperamentu, dawała się przejednać tylko życzliwością. Na pierwszym piętrze czekał nieoceniony pan Franciszek. Zawsze pogodny i opanowany, stanowił ostatnią instancję w wynajdywaniu kolejnego krzesła na dostawkę.

Przeprowadzka na ul. Augustiańską dziekanatu filozofii spowodowała konieczność opuszczenia gościnnej Franciszkańskiej. Od strony zewnętrznych

---

\*UWAGA: Tekst został zrekonstruowany przy pomocy środków automatycznych; możliwe są więc pewne błędy, których sygnalizacja jest mile widziana (obi@opoka.org). Tekst elektroniczny posiada odrębną numerację stron.

splendorów było to jak wygnanie z raj. W starym klasztorze OO. Augustianów już samo wejście budziło respekt i przerażenie. Pierwsze uczucie powstawało na widok wspaniałych ścian, fragmentów fresków, i potężnego korytarza na piętrze, ale wszystko to brudne, odrapane i nie wiadomo czyje. Nasze sale znajdowały się u końca korytarza. Składały się na nie: duża sala na ponad 100 osób (często wypełniona po brzegi), poprzedzona przedsionkiem pełniącym rolę szatni; dwie mniejsze sale usytuowane za salą główną, w których znajdował się sekretariat filozofii i tzw. biblioteka. Ta ostanía sprowadzała się do szafy zamykanej na klódkę, w której przechowywano odbijane u ks. prałata Małysiaka egzemplarze *Zagadnień Filozoficznych w Nauce*. Na głównej sali okna były tylko z jednej strony, a między oknami piece akumulacyjne, które raz po raz nawalały i nie były w stanie ogrzać pustego pomieszczenia. Tak więc początkom spotkań zawsze towarzyszył chłód, za to koniec przypominał saunę.

Comiesięczne spotkania na Augustiańskiej miały swą stałą oprawę. Prócz troski o zaproszenie prelegenta, rozwieszenie plakatów i tym podobne ważne sprawy, zwykło się także serwować kawę lub herbatę a czasem nawet ciasteczka. Ten miły gest ze strony organizatorów miał wspierać przyjazną atmosferę, umożliwić kularowe rozmowy, i zwyczajnie pomóc w rozgrzaniu się i podniesieniu ciśnienia dla sporej grupy przybyłych (czasem z bardzo daleka, np. z Częstochowy, Warszawy a nawet Gdańska) gości. Tak to wyglądało z daleka, ale z bliska ta sympatyczna oprawa wymagała prawdziwie karkołomnych wyczynów. Takie to były czasy, że łatwiej było o prelegenta niż o kawę. Tu zaczynał się problem pierwszy. Na ogół kawę kupował za dolary w Peweksie ks. Życiński i taszczył w swej pojemnej torbie na spotkanie, razem z cukrem i paluszkami. Teraz zaczynał się akt drugi — zagranie wody. Przy ciągle wybijanych korkach był to wyczyn nie lada i niestety nie zawsze udało się zdążyć na czas przerwy. W przerwie miał miejsce akt trzeci — fizjologia ma swoje prawa a tu na zimnym korytarzu tylko jedna ubikacja i to często zatkana. Po rozejściu się gości trzeba było posprzątać salę, pomyć szklanki w garnuszku wody i z poczuciem dobrze wypełnionego obowiązku czekać na następne spotkanie. Umiejętność nie dostrzegania niedociągnięć a zauważania jedynie pozytywów została przez uczestników dopracowana do perfekcji. W rzeczy samej trudno jest dziś oddać niepowtarzalną atmosferę tamtych dni. Coś nieuchwytnego unosiło się w powietrzu, coś co miało posmak wyrzeczenia, przyjaźni i Prawdy.